

Wielka ŚCIEMA

Katarzyna
Ryrych



Katarzyna Ryrych

Wielka ściema

© by Katarzyna Ryrych

© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje: Katarzyna Kołodziej

Korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I, Łódź 2024

ISBN 978-83-8208-235-7

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl



W kuskach

Myślę, że łatwiej byłoby zniknąć z oczu agentom CIA niż mojemu bratu, który uparł się, że musi pójść ze mną do sklepu.

W sumie nie byłoby w tym nic złego, ale nie wyglądał reprezentacyjnie. Nie, mało powiedziane. W ogóle nie wyglądał. To znaczy – nie wyglądał jak sześciolatek, który wybiera się ze starszym bratem, żeby kupić litr mleka i budyń czekoladowy.

– Mamy w domu kisiel – przypomniałem, patrząc z góry na siostrę. Nawet mrugnąłem do niej przyjacielsko, ale nie miała zamiaru ustąpić.

– Kisiel wygląda jak glut – stwierdziła. – Albo smarki – dodała i skrzywiła się.

– No dobrze – westchnąłem. – Niech ci będzie. Ale popołudnie mam wolne.

– Masz – stwierdziła wielkodusznie i narysowała na gipsie kolejny kwiatek.

To była po prostu czarna seria na powitanie wakacji. Tydzień przed zakończeniem roku wychowawczynie zabrała klasę mojej siostry na wycieczkę do parku rozrywki, gdzie Marcela raczyła skoczyć z czegoś, z czego się nie skacze, i złamać sobie nogę.

– Zdarza się – orzekł dziadek tak spokojnie, jakby co dzień ktoś z rodziny sobie coś łamał.

Ale ja czułem przez skórę, że teraz wszystko spadnie na moją głowę.

Byłem jedyną osobą w rodzinie, która mogła zająć się dziećmi, podczas gdy dziadek spędzał czas na próbach kapeli, którą założył ze swoimi nowymi znajomymi, i realizował się artystycznie, babcia zaś ostro działała w Klubie Gospodyń Wiejskich...

A rodzice... no cóż. Pojechali na spotkanie z pszczelarzami z różnych krajów, aby dyskutować o szkodliwym wpływie pestycydów na populację pszczół.

Mądrze, prawda?

I po prostu, bez najmniejszych wyrzutów sumienia, zostawili nas pod opieką dziadków. Choć pewnie chodziło im o to, aby ktoś zaopiekował się dziadkami.

No dobrze, teraz powinienem powiedzieć coś więcej o sobie i miejscu, w którym mieszkam.

Należę do... pierwszego pokolenia, które urodziło się na wsi. Z czego moi rodzice są dumni.

Wygląda to bardzo pięknie, jeżeli ktoś ma dosyć życia w mieście, wdychania spalin, pracy w korporacji i innych niewygód i wreszcie realizuje marzenie swojego życia: kupuje drewniany dom (jakby nie było w okolicy murowanych), pasiekę, sad i warzywniak.

Moi rodzice mieli dość i ku przerażeniu całej rodziny zamieszkali w Kuskach (tak, w Kuskach, bo nasza wieś nazywa się Kuski, nie Kózki) i zaczęli się realizować.

Kiedy byłem mniej więcej w wieku mojego brata, nawet mi się to podobało. Mogłem biegać boso po kałużach, jeść czereśnie prosto z drzewa, robić sobie kalosze z błota



i wiele różnych innych rzeczy, których nie da się robić w mieście.

Moi rodzice patrzyli na to uradowani, a mama powtarzała, jak to zachwycała się książką *Dzieci z Bullerbyn* i chciała żyć jak jej bohaterowie: Lasse, Bosse, Britta, Anna, Lisa i Olle.

No i urządziła mi właśnie takie dzieciństwo.

Nie widziałem w tym nic nadzwyczajnego. Mogłem tylko współczuć moim rodzicom, że przed blokiem, w którym mieszkali, był ogromny trawnik, po którym nie wolno było biegać (bez sensu) i fontanna, do której nie wolno było wchodzić (też dziwne), a jak coś upadło na ziemię, to trzeba było to wytrzeć albo umyć. Bo zarazki.

Kiedy się urodziłem, rodzice mojej mamy byli już na emeryturze i mama zaprosiła ich do nas, aby sobie odpoczęli.

No to odpoczywają, że tak powiem, do dzisiaj. Dziadek zapoznał się z paroma mieszkańcami Kusek, którzy byli w jego wieku i podobnie jak on lubili muzykę, a babcia odkryła lokalne zwyczaje i postawiła sobie za punkt honoru ocalić je od zapomnienia.

Nawet pisali o nich w gazecie. *Miasto wraca na wieś* – czy coś w ten deseń. Bo dziadek założył kapelę, a babcia przerobiła Koło Gospodyń na Klub Gospodyń i w ten sposób się nie nudzili, bo każde z nich było zajęte prawie od rana do wieczora.

Rodzice założyli pasiekę, a prócz tego mama zaczęła wyrabiać domowe mydła, ziołowe maści i świece z prawdziwego wosku.

Potem urodziła się moja siostra, a później mój brat – i teraz oni biegali boso po kałużach i łapali kijanki. Ja byłem już na to za duży.

No i wszystko było dobrze, dopóki w naszej szkole nie pojawiła się praktykantka, która musiała potrenować na żywym materiale. Była bardzo przejęta swoją rolą, tym bardziej że postawiła sobie za punkt honoru poszerzyć naszą wiedzę, bo – uwaga – w porównaniu z kolegami z miasta byliśmy trochę do tyłu. Ścisłej mówiąc, po prostu powiedziała, że musimy dogonić intelektualnie naszych rówieśników.

Zupełnie jakby mi ktoś dał w pysk.

To, że każdy z nas potrafił rozpoznać, do jakiego zwierzaka należą ślady na śniegu, że rozróżniamy, które grzyby są jadalne, a które nie, że razem z leśniczym rozrzucamy mięsne kostki ze szczepionką przeciw wścieklicznie dla lisów, że zakładamy budki dla ptaków... to wszystko nagle przestało się liczyć.

Bo nasi rówieśnicy mieli na co dzień dostęp do kultury.

Tak jakbyśmy wszyscy mieszkali w kurnych chatkach i chodzili w łapciach z łyka.

– Przecież to wszystko mamy w komputerze – powiedział Franek.

– W internecie – poprawiła go praktykantka.

– Internet jest w komputerze. – Franek twardo obstawał przy swoim.

– Nie tylko – uśmiechnęła się pani. – Jest też w komórce.

Nie odezwałem się ani słowem. Miałem w kieszeni najnowszego iPhone'a, takiego, którym nawet można robić zdjęcia pod wodą. Ale nie widziałem potrzeby się tym chwalić.

– Daniel – Franek wskazał mnie palcem – założył kamerkę w dziupli i możemy obserwować sowy. W czasie rzeczywistym – dodał triumfalnie.

– O – praktykantka spojrzała na mnie przychylnie.

– To prawda – powiedziałem. – Mam swój kanał na YouTube...

Oczywiście niczego takiego nie miałem, ale wiedziałem, że są takie rzeczy.

– ...tylko nie jest publiczny – dokończyłem na wypadek, gdyby chciała sprawdzić, czy mówię prawdę.

Zanim praktykantka wyjechała z naszej wsi, Maciek podsłuchał, jak rozmawiała z wychowawczynią, że na egzaminie będą nam doliczać eurosuplementy, żeby wyrównać różnice w poziomie.

Żadne z nas nie wiedziało, co to takiego, i zapytaliśmy wuefistę, bo kto jak kto, ale on to na suplementach powinien się znać.

– Eurosuplementy... eurosuplementy... – powtórzył i potarł dłonią czoło. – No nie mam pojęcia, chłopaki. Ale jak wam zależy, to popytam.

Wuefista był naprawdę fajny. Dotrzymał słowa i następnego dnia dowiedzieliśmy się, że to nie są żadne suplementy, tylko punkty eurostaminy, które będą doliczać nam do wyników egzaminu, żebyśmy nie odstawali poziomem.

– Nie chcę niczego za friko – oświadczył Franek.

– Mogą sobie tę eurostaminę... – zaczął Maciek.

– Panowie, to nie jest zależne od nas – uspokoił go wuefista. – Jak będą chcieli dodać te punkty, to dodadzą i basta.

– A pan coś takiego by chciał? – zapytałem. – Taką jałmużnę?

– Nie – odpowiedział krótko i treściwie.

Jak mówiłem, to równy gość.

– *Stamina* – wyjaśnił nam pan od angielskiego – to upór i wytrwałość.

Tego akurat nam nie brakowało, bo w ciągu kilku dni poinformowaliśmy wszystkich w szkole (z wyjątkiem tych z pierwszej, drugiej i trzeciej, bo byli jeszcze za mali i guzik by zrozumieli), że uważają nas za tępaków i chcą nam doliczać punkty, żebyśmy nie psuli statystyki. To wymyślił Franek, którego matka była sekretarką wójta i od niej uczył się różnych mądrych słów. Co prawda nie miał pojęcia, co znaczy większość z nich, ale zawsze robiły wrażenie.

Któregoś dnia przed szkołą pojawił się napis:



NIE CHCEMY EUROSTAMINY

i zrobiła się prawdziwa afera.

– Czy wy w ogóle rozumiecie, o co chodzi? – grzmiał dyrektor szkoły, zwany Dyrem.

Staliśmy na boisku jak zwykle na szkolnym apelu. Maciek kopnął mnie w kostkę.

– Co jest? – zapytałem.

– No weźże coś powiedz – mruknął.

– Coś – odpowiedziałem. Mało oryginalnie, bo chyba to już było w jakiejś książce.

A z drugiej strony, co miałem powiedzieć?

No to staliśmy w milczeniu. Dyro pogadał, pogroził i rozeszliśmy się do klas.

Tak czy inaczej, nasza pogarda dla punktów za nic zaowocowała czymś przedziwnym. Otóż na początku października w szkolnej gablotce pojawił się plakat informujący, że od listopada w naszej szkole zaczyna działalność Dyskusyjny Klub Filmowy, który poprowadzi nasza bibliotekarka, a w bibliotece dodatkowo powstanie Klub Miłośników Książek.

– Ciekawe, czy to po to, żeby „nas wyrównać”? – rzucił Franek.

Niezależnie od tego, co kierowało Dyrem, oba pomysły bardzo mi się spodobaly. Chociaż Kuski nie leżały gdzieś tam, gdzie diabeł mówi „dobranoc”, to mało komu chciało się jechać do miasta tylko po to, aby obejrzeć coś w kinie. Po pierwsze, trzeba byłoby poświęcić na to cały dzień (czytaj: sobotę) ze względu na rozkład jazdy autobusu, a po drugie – jako że kina zazwyczaj znajdowały się w centrach handlowych – matka albo starsza siostra takiego kinomana korzystała z okazji, żeby obejść wszystkie możliwe sklepy, co się nie kalkulowało.

Więc raczej nie jeździło się do kina.

W sobotnie popołudnie życie jakby zamierało, chowało się po domach, zamykało za furtkami albo oglądało telewizję. Prawdziwy odpoczynek był w niedzielę, chociaż ci, którzy mieli krowy, i tak musieli je wydoić i wyprowadzić na pastwisko, no i nakarmić całą resztę mieszkańców obory, stajni lub kurnika.

Tak żyli ludzie w wieku moich dziadków, bo młodzi mieli już swoje pomysły, pracowali w mieście i wprowadzali nowe zwyczaje.

A my szliśmy na boisko albo do lasu, albo nad rzekę, chyba że trzeba było w czymś pomóc.

No to już wiecie, jak się żyło w Kuskach. A, jeszcze coś. Praktykantka podobno w tym samym dniu, kiedy przyjechała, stwierdziła, że nad takimi wioskami trzeba się szczególnie pochylić (użyła dokładnie tego słowa),

